

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

9

Naczelnny inspektor wzrokiem radził się dyrektora więzienia a w wyrazie twarzy jego czytałem odcień niedowierzania.

— Co więcej — ciągnąłem dalej — gotów jestem jeszcze dziś wieczór dowodnie wykazać prawdę tego, co tu twierdzę.

— Najlepiej zaraz, w tej chwili, panie Dickson.

— Nie, jeśli pan pozwoli, panie naczelnny inspektorze, dopiero dziś wieczór... Później panu wyjaśnię, dlaczego... a raczej sam pan zrozumie... Czy pozwoli pan, żebym prowadził dalej tę sprawę, którą prowadziłem dotąd?

— No niechże tak będzie!

— W takim razie poproszę, by mi pan dał dwóch inspektorów doświadczonych i odważnych, mogących stanąć do walki w razie potrzeby... Zabiorę tych panów do Broad-West... reszta już do mnie należy.

— Dam panu tych dwóch inspektorów, ale strzeż się pan... może się pan mylić... a pamiętaj pan, jakie straszne następstwa mieć może samowolne aresztowanie... a zwłaszcza aresztowanie takiego pana Gilberta Crawforda!

— Czyż mam panu przypominać, panie nadinspektorze, moją dawniejszą działalność i prowadzenie różnych spraw, które pozyskało mi uznanie i pochlebne słowa najwyższej dyrekcyi? Czyż to nie ja wykryłem zawiłą sprawę „Czerwonego Żółwia“, tajemnicze morderstwo bankiera Ponud, dramat w Wimblester-House, czy to nie ja...

Nadinspektor przerwał mi gestem:

— Ja wiem... ja wiem... że pan zawsze dawał dowody taktu i zręczności... ale trzeba uważać, panie Allanie Dickson... zawód nasz ma swe niebezpieczeństwa... dziesięć spraw się uda, a przy jedenastej można popełnić błąd nie do darowania, który spada potem na całą policję...

— Jeżeli ja przemawiam z taką pewnością, panie nadinspektorze, to dlatego, że zrobiłem bardzo szczegółowe dochodzenie i że trzymam w ręku nic tej całej sprawy. Mam dowody... dowody namacalne... i jeżeli panu mówię: Gilbert Crawford jest mordercą Hugona Chancera, to mówię to, bo jestem tego pewien... bo widziałem u niego papiery skradzione i złote monety, znaczone gwiazdką sześcioramienną...

— To wystarczy, panie Dickson, ufam w pański węch... A jednak... przyznam, że nie bardzo dobrze rozumiem, dlaczego dałeś się pan zaaresztować w klubie „Pacific“...

— Nie chciałem głośnem broniem się i ogadywaniem sprawy przy świadkach, wszczynać alarmu... przypuszczałem, że ktoś wmieszany w sprawę jest obecnym w sali, ale wtedy niezupełnie pewien byłem kto... tego kogoś nie chciałem płoszyć przedwcześnie... Woląłem na razie zmilczeć i ułedz, nie wyjaśniając zrazu pomyłki... Zresztą bliżej i dokładniej, panie nadinspektorze, wyjaśni to panu pan Gilbert Crawford.

— A więc dobrze... Dam panu dwóch inspektorów, tak, jak to panu obiecałem, ale dla uchylenia się od odpowiedzialności w tej sprawie, na wypadek, mało prawdopodobny zresztą, gdyby ona miała wziąć zły obrót — byłbym panu bardzo wdzięczny, panie Dickson, za zredagowanie wobec mnie formalnego doniesienia...

Wziąłem do ręki pióro i wypisałem te słowa na arkuszu papieru z nagłówkiem dyrekcyi policyi: „Ja, niżej podpisany, Allan Dickson, detektyw, zamieszkały w Broad West, poręczam moim honorem, że pan Gilbert Crawford jest mordercą pana Hugona Chancera i że przywłaszczył sobie własność tego ostatniego, obligacje Newcastle Mining Comp., obłożone zastrzeżeniem przez p. Withwortha, oraz monety w złocie, oznaczone gwiazdką sześcioramienną.

na. Twierdząc oprócz tego, że pan Gilber Crawford ukradł mi mój portfel, zawierający pięćdziesiąt funtów w banknotach“.

I położyłem mój podpis. Naczelnny inspektor odczytał to pismo, podał je dyrektorowi więzienia, a potem głosem poważnym oznajmił:

— To oskarżenie jest zupełnie formalne... Jeśli się okaże, że p. Crawford jest niewinny, pan Dickson sam poniesie całą odpowiedzialność za popełnioną pomyłkę. To się rozumie, wszak prawda? Pan nie masz już nic do dodania?

— Nic, panie — odpowiedziałem.

— W takim razie jesteś pan wolny. Czy pan sobie życzy, żebym natychmiast wysłał agentów do Broad-West?

— Nie, nie potrzeba — odpowiedziałem. — Zresztą, jeżeli pan niema nic przeciwko temu. mógłbym na miejscu zażądać usług inspektora Bailey i konstabla Mac Phersona, którzy pierwsi na miejscu zbrodni prowadzili dochodzenie.

— Upoważniam pana do tego.

I siadłszy przed swoim biurkiem, nadinspektor



Ja nie jestem mordercą! — krzyknął szofer.

podpisał mi formalne upoważnienie, zaznaczając jednakże na marginesie, że daje mi je na własne moje żądanie. W ten sposób uniknął wzmianki o sprawie w Green Park. Był to człowiek ostrożny, wystrzegał się zawiłań i nigdy się nie kompromitował. Pozostawiał to swoim agentom i biednym detektywom.

Rozdział XV.

— Czy twój pan w domu?

Staliśmy przed willą Crawford, inspektor Bailey, Mac Pherson i ja. Noc już była ciemna, a w oddali, od strony Merry Town grzmiało. Chwilami pomiędzy drzewami błyskały ogniste arabeski, a spłoszone nietoperze chroniły się w gąszczu. W oknie pierwszego piętra jaśniało blade światło, oznaczające zaciszną sypialnię milionera. Stang, którego ostrzegał instynkt nieczystego sumienia, chwiał się na nogach na widok tych trzech ludzi, którzy patrzyli nań z poza sztachet.

Bailey pokazał mu swoją kartę.

— Wpuść nas — rozkazał — na rozkaz naczelnego inspektora z Melbourne!

Szofer otworzył bramę i usunął się, pełen szacunku.

— Stang — rzekłem z kolei, piorunując wzrokiem nieszczęsnego chłopaka — idź, dowiedz się, czy pan twój może nas przyjąć.

— Tak... ale...

— Idź, mówię ci.

Znikł, a my naradziliśmy się szybko, podczas tej krótkiej jego nieobecności.

— Panowie — wyjąkał, wróciwszy — niech panowie wybaczą... mój pan jest w domu, ale śpi... a ja nie śmiałem go obudzić.

— Pójdźmy na górę — rzekłem.

Poszedłem sam pierwszy, prowadząc moich pomocników i świecąc sobie zapalką woskową. Skoro tylko weszliśmy na korytarz pierwszego piętra, światło lampki nocnej, przeświecające przez szybę, świeciło nam już dostatecznie. Zaprowadziłem moich inspektorów aż do obserwatorium i tam, wyciągając rękę, przemówiłem:

— Patrzcie panowie, pan Crawford leży w łóżku, tak jak co noc, jak o tem świadczą jego ludzie.

Bailey i Mac Pherson zbliżyli się do szyby i wstrzymując oddech, przyglądali się przez chwilę spokojnej twarzy śpiącego.

— Nie słyszał naszych kroków — szepnął Mac Pherson.

Chwyciłem klamkę drzwi i wszedłem do pokoju.

— Wejdźcie panowie! — rzekłem do moich towarzyszy, zdumionych taką bezceremonialnością.

Wsunęli się cicho, na palcach, żałowani poglądając to na mnie, to na siebie. Ja zaś spokojnie wyszedłem na sam środek pokoju.

— Panie Crawford! panie Crawford! — zawołałem po trzykroć.

Policjanci znowu spojrzeli na siebie.

Wtedy ja podszedłem do łóżka, ściągnąłem gwałtownie kołdrę i chwytając za włosy woskową lalę, podobną pana Crawford, zawołałem:

— Przypatrzcie się dobrze, jakim sposobem stwarza się sobie alibi!

Zdziwienie, podziw, zdumienie obu policyantów wyraziło się w jednym przeciągnięciu:

— Ach!

Olśnił ich, oszołomił ten efekt teatralny. Ja zaś bardzo spokojnie ciągnąłem dalej:

— Moi panowie, zechciejcie się teraz przekonać, że w biurku znajdują się walory, akcyje i obligacje, oraz gotówka w monecie złotej — wszystko to własność pana Hugona Chancera.

— To będzie pogwałcenie nietykalności spokoju domowego... — zastrzegł się nieśmiało Bailey.

— Dajże pan pokój... ja biorę wszystko na swą odpowiedzialność... zresztą, czyż nie jestem pokryty, mając za sobą nadinspektora z Melbourne?

Skoro tylko biurko otworzyli, Bailey i Mac Pherson z moją pomocą sprawdzili szczegółowo tożsamość papierów z listą numerów, której du-

plikat miałem w kieszeni. Następnie z ręki do ręki przechodziły po kolei wszystkie złote sawerony, tak dziwnie znaczone przez starego oryginała z Green Park. Inspektorowie na moją odpowiedzialność zabrali ze sobą wszystkie te monety.

Spełniwszy to wszystko, ułożyliśmy napowrót woskową figurę w łóżku, przywróciwszy zewnętrzny porządek i wyszliśmy z pokoju. Stang, który właśnie wszedł na górę i widział nas wychodzących, spojrzął na łóżko swego pana. Rzekomy pan Crawford leżał tam najspokojniej w świetle i zasypiał — bez wzruszeń, snem sprawiedliwego. — Uderzył mnie, mimo wszystko, komizm sytuacji i musiałem zapanować nad sobą, by nie wybuchać śmiechem na widok zdumionej i przerażonej miny szofera. Widziałem, że drży i nic nie rozumiejąc, toczy błędnymi oczami, jak nieprzytomny.

— Słuchaj Stang — przemówiłem, dotykając jego ramienia — idź i zaprowadź tych panów do małego saloniku na parterze i proś ich, żeby byli łaskawi usiąść. A potem przyjdź tutaj do mnie.

Szofer, jak automat, rzucił się spełnić moje rozkazy. Policjanci zeszli na dół. Słyszałem, jak suwali krzesłami, jak zamykali okna i zasiadali. Wreszcie Stang powrócił.

— To nie żadna komedia — przemówiłem to-